NR. 6 NIEDZIELA, 29 MARCA 1931 R. ROK VI

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci

OCZEKIWANIE WIOSNY

Czekamy tęsknie zimy końca!
Kiedyż nadejdą wiosny dni?
Pragniemy trawy, ciepła, słońca,
Kolonja codzień nam się śni...

Już dosyć śnieżek, łyżew, sanek —
Wolimy spacer w pole, w las,
Gdy woń rozsiewa rześki ranek
I wspólna piosnka łączy nas.

Już dosyć mroźnej, śnieżnej zimy
Co biednym dzieciom niesie łzy, —
Słoneczne wiosny dni wolimy,
Gdy nucą ptaszki, pachną bzy.

Czekamy tęsknie zimy końca!
Kiedyż nadejdą piękne dni?
Pragniemy kwiatów, ciepła, słońca
Kolonja codzień nam się śni...

A. M-icz.

AKADEMJE DZIECIĘCE Z OKAZJI „DNIA KOBIET"

Zapewne wiecie, drogie dzieci, że w ubiegłą niedzielę, t. j. dn. 22 marca, obchodziliśmy „Dzień Kobiet" czyli święto wszystkich matek i sióstr waszych.

Starsi zebrali się w kinie „Palace" na uroczystej akademji, lecz organizatorki tego święta nie zapomniały i o was, dzieci.

15 marca na wszystkich dzielnicach Warszawy (z wyjątkiem Ochoty, gdzie uroczystość miała miejsce we czwartek, dn. 19 marca) odbyły się akademje dziecięce.

Zapewne niektórzy z naszych czytelników przyjmowali w nich udział i sami wiedzą, jak doskonale się ubawili. Do wiadomości zaś tych, którzy na nich nie byli podajemy krótkie sprawozdanie:

Przebieg tych akademji prawie wszędzie był jednakowy: po serdecznem przemówieniu, w którem kładziono specjalny nacisk na rolę matek w domu i społeczeństwie, prelegentki opowiadały bajki, które bardzo zajęły młodych słuchaczy.

Następnie odbyły się popisy dzieci, dalej zabawy ogólne, śpiewy i rozdanie chorągiewek.

Koło Kobiet dzielnicy Mokotów przygotowało kilkadziesiąt różnokolorowych czapeczek z bibułki i papieru, co ogromnie podobało się dziatwie i przyczyniło się do upiększenia malowniczego korowodu dziecięcego.

Najlepiej deklamujące dzieci otrzymały jako nagrody 5 książek, opatrzonych odpowiednią pamiątkową dedykacją.

Na niektórych dzielnicach częstowano małych gości cukierkami.

Nastrój wszędzie był niezmiernie miły. Dziatwa niechętnie rozchodziła się po domach, serdecznie dziękowała organizatorkom i gorąco prosiła, by następna zabawa odbyła się jaknajprędzej.

Ponieważ wszędzie dzieci były grzeczne i zachowywały się poprawnie, więc Warszawski Wydział Kobiecy P. P. S. obiecał w dniu 1-szym Maja urządzić podobne akademje - zabawy, które w swoim czasie zostaną ogłoszone w „Robotniku", a was, mili czytelnicy, już dziś zapraszamy na nie całem sercem.

Redakcja.

◆ ◆ ◆ ◆ ◆ ◆ ◆ ◆ ◆ ◆ ◆ ◆



DO SŁOŃCA

Wsunięty w ciemny kąt pomiędzy komodą i łóżkiem, czteroletni Julek bawi się wbijaniem gwoździ w kwadratowe kawałki drzewa. Jest tak pochłonięty, że nawet język wysunął na brodę i porusza nim w takt uderzeń małego młotka.

Nagle w kącie robi się prawie widno, a przez plecy przechodzi mu przyjemne uczucie ciepła.

Julek porzuca młotek i podnosi głowę...

Jest mały o wielkiej, pokrytej jasnemi włosami głowie, piwnych oczach, z^słoniętych grubemi, ciężkiemi powiekami; ma ręce zbyt długie do jego wzrostu i nogi cienkie, trochę zbliżone do siebie w kolanach.

Chłopczyna ciekawie rozgląda się po mieszkaniu, starając się wykryć przyczynę tego dziwnego zjawiska: nie może jednak zorjentować się. Mama zmywa naczynia po obiedzie, tatuś z terminatorem Wackiem siedzą przy warsztacie, a mały Janek śpi w kołysce.

Oto jasność jest teraz jeszcze większa— to blask od okna bije, a jaki ciepły!...

Julek wyciąga dłonie, obraca je, tak mu miło, tak silnie grzeje to światło, więc przykuca na ziemi i śledzi ów promień. Jak przyjemnie, wesoło jest teraz w całem mieszkaniu: o, teraz padł promyk na kołyskę, zagląda w buzię śpiącemu Jankowi, pewnie maleństwu ciepło, bo porusza się i przeciąga.

A to znów co nowego? Promyk odbija się w małem lusterku, stojącem na komodzie, łamie się, rozbija na tysiące drobnych, migotliwych światełek, które igrają, gonią się i nikną na przeciwległej białej ścianie. Teraz głowa tatusia jest cała w blasku, a swawolny promyk zawisł mu na wąsach i tak ładnie złoci ich końce.

Julkowi robi się dziwnie przyjemnie i wesoło na duszy. Gdyby tak zatrzymać na zawsze to piękne światełko, a jeszcze lepiej nazbierać ich dużo, dużo! Nie trzebaby lampy palić, ani pieca ogrzewać. Jaka szkoda, że okno jest takie małe, a sąsiedni dom taki wysoki i że tylko jeden promyk słońca zabłąkał się do ich mieszkania.

Oh, poszedł promyk, schował się, znów ciemno i smutno! Julek drżeć zaczyna. Podchodzi do okna i ciekawie wygląda.

— Tatusiu, skąd przyszło to światło?— pyta.

— To słońce tak świeci.

— Tatusiu, a gdzie podziało się słońce?

— Schowało się za ten wysoki dom. Odejdź, synku, zasłaniasz mi — odpowiada ojciec, zajęty wykończaniem męskiego kamasza.

Julek powraca do swego kąta, bierze kawałki drzewa, gwoździe, młotek, wyciąga z pod łóżka małego konika, lecz nic go nie bawi. Oczy zwracają się do okna, a myśl uparcie pracuje w jednym kierunku.

Czemu to słońce tak prędko poszło? Czemu nie pozostawiło swego radosnego promienia? Tak długo było ciemno i szaro, nawet przez okno nie można było wyglądać, gdyż pokrywały je cieniutkie gałązki lodu, na które Julek bardzo lubił patrzeć.

Tyle czasu trzeba było siedzieć w dusznem mieszkaniu, a mama nawet okna nie otwierała, by nie zaziębić dzieci. Julek czasami podchodził do drzwi i przez dziurkę od klucza wciągał świeże powietrze z korytarza. A dziś przyszło w odwiedziny słońce! To pewnie dlatego, że już niedługo święta będą, a mama obiecała kupić Julkowi baranka z cukru z czerwoną chorągiewką. Szkoda, że niema już tego światła! Ale gdzie teraz jest słońce? Pewnie dalej wędruje po niebie, a może, jak mówił tatuś, schowało się za ten wysoki dom i tam sieje swe dobroczynne promienie.

Julek czuje fizyczne pragnienie ciepła: jakby to dobrze było stanąć wprost słońca, kąpać się w jego blaskach, łowić cudne, złote światełka, grzać się, przeciągać...

Kiedyś, dawno, jeszcze przed choinką, Julek był chory. Tatuś przyprowadził doktora, który obejrzał go na wszystkie strony, potem coś długo mówił do mamy, wreszcie położył mu rękę na głowie i Julek doskonale pamięta te słowa:

— Nic groźnego, będzie zdrów, lecz latem słońca, dużo słońca dać mu potrzeba.

Julek czuje, że promienie te dałyby mu nowe siły, przywróciły zdrowie i napełniły ożywczem, wielkiem pragnieniem życia.

Tymczasem matka kończy zmywanie i mówi:

— Julku, przypilnuj Janka, by nie wyleciał z kołyski, gdy się obudzi. Ja zaraz wracam; pójdę tylko do kucharki z pierwszego piętra zapytać się, czy mi pozwoli upiec ciasto w ich piecu — dodaje, zwracając się do męża i wychodzi, nie zamykając drzwi.

Julek chodzi z kąta w kąt; przetrząsa swoje zabawki, patrzy chwilę na śpiącego braciszka, przygląda się pracy ojca, jednak wszystko wydaje mu się szare, brzydkie, nudne... Jest mu zimno. Jakiś wewnętrzny dreszcz wstrząsa jego wątłem ciałem. Nagle szybka myśl ogarnia go, olśniewa, nęci...

A gdyby tak wyjść trochę na ulicę, minąć ten duży dom i raz jeszcze zobaczyć dziś słońce?

Drzwi są uchylone, można więc wysunąć się niespostrzeżenie; wartoby wziąć czapkę, ale, niestety, jest ona schowana w górnej szufladzie komody, której Julek sam wyciągnąć nie umie, wreszcie to napewno zwróciłoby uwagę tatusia. To nic, można i bez czapki wyjść, przecież to blisko i Julek prędko wróci...

Cichutko przysuwa się do drzwi, otwiera je bez najmniejszego szmeru i podchodzi do schodów.

Jak to wysoko! Czy aby uda mu się zejść?

Julek nigdy sam nie chodzi po schodach, zawsze mama lub tatuś prowadzą go, trzymając za rączkę; najczęściej jednak, ze względu na jego biedne, chore nóżki, Wacek znosi go na swych ramionach. Boi się więc trochę i lękliwie patrzy na dół. Następnie siada na pierwszym schodku, opuszcza nogi na trzeci, siada na drugim i tak dalej i dalej... Już tylko jedno piętro mu zostało — teraz trzeba uważać, gdyż mama jest u Marjanny, w jej kuchni, może go spostrzec i zawrócić.

Julek skrada się cicho, cichutko... jeszcze chwila i oto jest na dole. Na szczęście w sieni niema nikogo, więc swobodnie przechodzi przez podwórze, mija bramę i wychodzi na ulicę.

Jest cudny, wiosenny dzień kwietniowy: ulica tonie w potoku światła; po chodnikach snuje się w obie strony radosny, barwny tłum; w powietrzu czuć jakiś dziwny, wilgotny, odurzający zapach. Ludzie na twarzach, w oczach i na ramionach zdają się nieść promienną radość życia.

Julek podnosi główkę i widzi wspaniałą, potężną tarcze słoneczną do połowy zakrytą przez rząd wysokich, szarych kamienic. Idzie więc w tym kierunku, zrazu powoli i trwożliwie, stopniowo jednak ogarnia go ruch uliczny, gwar rozmów, tentent pojazdów, dźwięk dzwonków tramwajowych i idzie wciąż przed siebie do tych wysokich domów, rozglądając się ciekawie dokoła.

Jaka ładna jest dziś ulica, a i ludzie są jacyś inni: idą lekko, wesoło, swobodnie, wszyscy z uśmiechem na ustach.

A tu na rogu, przed sklepem, gdzie mama zwykle robi zakupy, stoi mała dziewczynka, troszkę większa od Julka, z dużym koszem kwiatów, które podzielone są na maleńkie bukieciki. Wszyscy prawie mają takie kwiatki u boku, lub w ręce; teraz właśnie przed małą kwiaciarką zatrzymało się dwoje młodych ludzi. On kupuje kwiatki, wybiera bukieciki, podaje je swej towarzyszce, która przyjmuje je z uśmiechem, do ust swych podnosi, a potem do boku przypina. Jeden bukiecik rozwiązał się i śliczne kwiatki sypią się po jej sukni.

Ona śmieje się głośno i, nie podnosząc ich, odchodzi, wsparta na ramieniu swego towarzysza. Julek schyla się, podnosi i za przykładem panienki do ust je niesie. Jak ładnie pachną! Znów idzie dalej. Już tak blisko tych domów. Trzeba jednak koniecznie przejść na drugą stronę, a ulica taka szeroka i ruchliwa.

Julek zatrzymuje się na brzegu chodnika i z uwagą patrzy na wszystkie strony, musi poczekać aż zatrzyma się ruch na jezdni.

Oto pożądany moment: tramwaj dopiero co przeszedł i nie widać blisko ani jednego pojazdu... Wprawdzie tam daleko, na końcu ulicy, toczy się jakieś pudło ogromne, ale jest jeszcze tak daleko...

Śmiało więc posuwa się naprzód...

Nagle ogarnia go jakieś dziwne ciepło, czuje przykry swąd, uszy jego rozdziera straszny, przeraźliwy świst, ciemnieje mu w oczach... pada...

Podnosi swe ciężkie, grube powieki, widzi tłum zebrany.

A to co? Coś lepkiego, ciepłego płynie mu po twarzy. Biorą go, niosą... Gdzie on jest? Kto to?

Straszne przerażenie odbija się w jego zamglonych oczach, przykrywa je powiekami, pręży się, drga i zacicha, szepcąc:

— Ja... ja do słońca!!...

Aniela Pinon Gacka.

PIERWIOSNEK

Maniuś tej zimy był niezdrów. Ciągle kasłał, w plecach go kłuło. Blady był i mizerny. Pan doktór powiedział mamie, że bardzo dobrze byłoby dla Maniusia, gdyby wyjechał na wieś zaraz, jak się skończy zima, w marcu, najpóźniej w kwietniu.

Mama bardzo się zmartwiła. Skąd tu wziąć pieniędzy na podróż i na utrzymanie na wsi. Ojciec miał warsztat ślusarski, powodziło im się nieźle, ale na wysłanie syna na wieś nie bardzo mogli sobie pozwolić. Nagle mama przypomniała sobie, że jej koleżanka mieszka teraz za Augustowem na prawdziwej wsi, nad jeziorem, wśród olbrzymich lasów.

Maniusiowi byłoby tam doskonale, tymbardziej, że miałby liczne towarzystwo, gdyż koleżanka mamy miała pięciu synów.

Wmarcu Maniuś naprawdę siedział w wagonie i jechał w stronę Suwalszczyzny.

Maniuś nigdy jeszcze nie widział, jak zima ucieka przed wiosną. Całe życie, a było ono długie, bo miał już osiem lat, spędził w Warszawie. Wiadomo, jak to bywa w mieście. Czy śnieg napada, czy deszcz, czy grad, załatwia się z tem nie przyroda, a dozorca. Zwyczajnie, weźmie miotłę, zmiecie, i zostawi czysty trotuar, wszystko jedno czy zimę wiosna goni, czy lato ucieka przed jesienią.

A tu przed oczyma Maniusia rozwarły się nowe światy.

Z kolei jechali wozem przez pola i lasy, wzdłuż jezior wielkich. Drzewa jeszcze miały nagie gałęzie, ale jakoś radośnie ruszały się na wietrze. Ziemia była wilgotna. Gdzie niegdzie, w cień wysokiej cieśniny wtulała się łacha już brudnego śniegu. Na ścieżynach wystawionych na słońce sączyły się wązkie strumyczki wody, kopyta koni miękko człapały.

Maniuś siedział cichutko i wciągał w płuca pachnące powietrze.

Dobrze było Maniusiowi na wsi. Codziennie z Jaśkiem, Witkiem, Staśkiem, Władkiem i Andzią pędzili nad jezioro, czy kra już ruszyła. A gdy spękały grube lody, wiosłami przepychali kry, by się piętrzyły jedna na drugą. Wtedy wyglądały apetycznie, jak olbrzymie cukierki, bo całe były różowe i przejrzyste, od słońca.

Pewnego razu, pani gospodyni powiedziała, że czas już wypędzić krowy do lasu. Bo w Białej Wodzie, tak się nazywała wieś, w której mieszkał Maniuś, nie było pastwisk, tylko łączki wśród wielkich lasów.

Była to wielka uroczystość. Znak, że nadeszła prawdziwa wiosna. Więc Witek i Władek, a z nimi Maniuś pędzili przed sobą Białoszkę, Łaciatkę i Siwkę, tuż nad jeziorem, które wyzbyło się kry.

Maniuś bał się trochę. Chociaż do jeziora było kilkanaście metrów, kręciło mu się w głowie i miał wrażenie, że jeszcze chwilka, a te wielkie, szare wody wciągną Maniusia, aż na samo dno. Ale nie przyznawał się do tego, bo Witek i Władek tak szli swobodnie, jakby tuż koło nich żadnego jeziora nie było. Wiec Maniuś odwrócił się w drugą stronę, patrzył na wielkie drzewa, aż na same ich czubeczki i też udawał, że jeziora nie widzi. Tak doszli aż do gajówki. Potem skręcili w lewo. Popielate gałązki sośniny trzeszczały pod ich nogami. Wkoło nich zrobiła się taka gęstwa cienkich gałązek, że krowy ledwie się przedzierały. Ale niedługo zrobiło się jaśniej i Białoszka, Łaciatka i Siwka, Witek, Władek i Maniuś, znaleźli się jak w okrągłym pokoju, który ściany miał popielato bielone, sufit błękitny, a pod nogami jasno zielony dywan. Była to polanka, która pierwsza miała służyć za pastwisko. Krowy obejrzały się w lewo, w prawo... Muuu... muuu... muuu... zaczęły ryczeć. Maniuś też się obejrzał w lewo w prawo i... nie wiedział, co miał robić. Pierwszy raz w życiu był tak głęboko w lesie. Witek i Władek nie bardzo troszczyli się o niego. Rzucali kamykami, skakali, biegali, pohukiwali: Ho... ho... ho! Hu... hu.. hu! A Maniuś nie miał na to ani ochoty, ani sił.

Siadł więc na dużym kamieniu i zaczął przyglądać się trawie.

Jeszcze grubą warstwą leżał zeszłoroczny mech, ale wśród starego poszycia, wyrastały kępki zieloniusieńkiej trawy, tak delikatnej, błyszczącej, młodziutkiej, że Maniuś ostrożnie dotykał ją paluszkami, jak coś świętego.

Nagle przyklęknął. Wśród trawy coś się zasrebrzyło. Białe płateczki kwiatka. Był to najpierwszy kwiatek w tym roku. Prawdziwy zwiastun wiosny. Maniuś przyjrzał

mu się uważnie, a potem zaczął krzyczeć z uciechy. Nadbiegł Witek i Władek. Maniuś pokazał im kwiatek i powiedział, że chciałby go zabrać ze sobą. Więc Witek i Władek pomogli Maniusiowi wykopać kwiatek z korzonkami. A potem w domu pokazali go matce. Pani gospodyni powiedziała, że jest to pierwiosnek. Kwiatek, który najpierwszy wyrasta z pod śniegu i woła do wszystkich: „Jestem pierwszy kwiatek wiosny!.... Jestem pierwszy kwiatek wiosny"!...

Maniuś słuchał bardzo uważnie. Podobał mu się kwiatek i to co pani gospodyni mówiła. Włożył więc kwiatek do książki z obrazkami, żeby się zasuszył, a potem napisał do mamy list:

„Kochana mamo!

Na jeziorze już kra puściła. Żeśmy odpychali ją od bżegu z Jasiem, Witkiem, Staśkiem, Władkiem i Andzią. Potem Białoszka, Łaciatka i Siwka poszły na pastwisko do lasu. Ja też poszedłem i znalazłem kwiatek. Pani gospodyni mówi, że on woła jestem pierwszy kwiatek wiosny i że nazywa się piorwiosnek. Posyłam go mamie w liście, żeby go mama zobaczyła. Ja jestem zdrów, już nie kaszlę i bende codzień chodził z krowami do lasu. Całóję mamę i tatusia. Manjóś". **Z. L.**



W KOPALNI

Działo się to w Belgji na początku ubiegłego stulecia.

Od wczesnego ranka w domu górnika Huberta Goffina panował niezwykły zamęt. Wszyscy domownicy byli bardzo przejęci, gdyż w dniu tym dwunastoletni Robert miał po raz pierwszy zejść do kopalni i zająć swe miejsce wśród górników.

Matka i siostry ze smutkiem patrzyły na chłopca i żałowały go serdecznie, że będzie musiał dnie całe przebywać w głębi ziemi i wyrzec się widoku słońca, drzew i kwiatów.

Ojciec zaś uważał za rzecz naturalną, że syn zacznie pracować w dwunastym roku życia, podczas, gdy on sam już jako ośmioletni malec zatrudniony był przy wydobywaniu węgla.

Robert rwał się do pracy, więc całował matkę i siostry, mówiąc:

— Niepotrzebnie martwicie się o mnie. Ja przecież uważam ten dzień za najszczęśliwszy w mem życiu. Nareszcie stanę się użytecznym i raczne pracować pod kierownictwem naszego drogiego ojca.

Kopalnie w tym czasie były w bardzo pierwotnym stanie, człowiek ciężką, mozolną pracą wyrywał ziemi jej bogactwa nagromadzone przez wieki.

Robert z ojcem przybyli do szybu i wraz z innymi robotnikami w dużym koszu opuścili się do kopalni.

Obowiązkiem Roberta było ładowanie do koszów brył węgla.

Chłopiec ochoczo zabrał się do roboty i po pewnym czasie zauważył, że stąpa po



wodzie. Pracujący z nim górnicy na jego uwagę odpowiedzieli, że niema w tem nic dziwnego; ponieważ jednak Robert zaobserwował, że woda stopniowo się podnosi, zaniepokojony, postanowił uprzedzić ojca.

Hubert Goffin prowadził robotę w odległości 500 metrów. Chłopiec, stosując się do danych mu przez współpracowników wskazówek, udał się na poszukiwanie ojca. Wkrótce jednak zwolnił kroku gdyż sklepienie nad jego głową było coraz niższe, miejscami zaś posuwał się zgięty we dwoje. Galerje były tak niskie, że górnicy nie mogli nawet klęczeć, lecz w pozycji leżącej odbijali kilofami czarne kawały węgla.

Nareszcie Robert dotarł do ojca i opowiedział mu o swych spostrzeżeniach.

— Podobne zjawiska często zdarzają się w kopalni, mój chłopcze — rzekł śmiejąc się górnik — musisz się do tego przyzwyczaić.

— Ależ, ojczulku, tu nie chodzi wcale o mnie, zaniepokoiło mnie tylko to, że woda przybywa i to z wielką szybkością — tłumaczył chłopiec.

Starszy górnik znał dobrze swego syna i wiedział, że nigdy dotychczas nie okazał się tchórzem, dlatego też zastanowiło go zachowanie się chłopca.

— Chodź, zobaczymy, co się tam dzieje — rzekł do Roberta.

Jedno spojrzenie wystarczyło, by ocenić grożące niebezpieczeństwo. Przerażeni górnicy, kierowani instynktem samozachowawczym, porzucili pracę i zajęli miejsca w koszach, w których wyciągano węgiel na powierzchnię ziemi.

W pierwszej chwili Hubert, trzymając syna w ramionach, wszedł do kosza. Lecz poczucie odpowiedzialności za los pozostających w kopalni robotników, wzięło górę. Szybko wyskoczył z kosza i krzyknął:

— Ruszajcie, ja wyjdę stąd ostatni...

Uniosły się w górę naładowane ludźmi kosze, a wtedy młody głosik odezwał się tuż koło ucha Huberta:

— A ja, tatusiu, zostanę z tobą.

Górnik uścisnął rękę synka i nie nalegał.

Wkrótce powróciły puste kosze. Hubert Goffin upominał i przestrzegał przy dalszem podnoszeniu koszów. Przypływ wody był już tak silny, że o dalszej akcji ratowniczej przy pomocy koszów, nie mogło być mowy.

Należało szukać innego sposobu ocalenia.

Starszy górnik najpierw zebrał wszystkich pracowników, zajętych w różnych częściach kopalni i udał się z nimi w miejsce najwyżej położone, gdzie woda prędko dosięgnąć nie mogła.

Było ich prawie sto pięćdziesiąt osób, wśród których gromadka dzieci. Położenie było tragiczne. Choćby woda nie groziła im zalaniem, byli zupełnie odcięci od

świata, gdyż jedyny szyb, skąd mogli spodziewać się pomocy, zalewała woda.

Najsilniejsi i najbardziej odporni pod kierunkiem Huberta zabrali się do pracy, by przebić przejście do sąsiedniej kopalni. Robota postępowała szybko i po przebiciu kilku metrów górnicy zauważyli, że odgłosy ich kilofów dźwięczały specjalnie, zwiastując zbliżanie się do próżni. W serca wstąpiła nowa otucha. Hubert uśmiechał się lekko, głaszcząc ciemną głowę synka.

Ostatnie uderzenie kilofa... i dał się słyszeć przeciągły świst, zapowiadający bliską obecność straszliwego, trującego gazu kopalnianego.

Wszyscy potracili głowy wobec tego nowego niebezpieczeństwa. Tylko starszy górnik czuwał i zachował zimną krew: momentalnie przy pomocy syna zatkał fatalny otwór w węglowej ścianie i zachęcał do kopania w innem miejscu. Lecz nie było już chętnych do nowych wysiłków.

Wtedy mały Robert pochwycił leżący kilof i krzyknął:

— Tatusiu, widzę, że oni odmawiają ci posłuszeństwa, więc zabierzmy się sami do pracy nad naszem ocaleniem, a jeżeli sądzonem nam jest zginąć, umrzemy z przekonaniem, że do końca nie opuściliśmy rąk bezczynnie.

Przy tych słowach dzielny chłopiec ze wszystkich sił uderzył kilofem we wskazanem przez ojca miejscu.

Przykład ten podziałał lepiej, niż rozkazy i prośby Huberta. Górnicy zgodnie stanęli do pracy, by nie dać się zawstydzić dziecku.

Tymczasem wokoło kopalni gromadziły się tłumy zaalarmowane przez ocalonych górników.

Z najbliższego miasta władze wysłały zdolnego inżyniera do zorganizowania szybkiej i umiejętnej pomocy.

Po dwuch dniach przebywania pod ziemią nieszczęśliwi górnicy ledwo trzymali się na nogach. Z bezsilnych rąk wypadały narzędzia, oczy zachodziły mgłą, a z zaśniętego gardła z trudem wydobywały się dźwięki.

Hubert Goffin również opadł z sił, w milczeniu tulił synka do siebie i z rozpaczą myślał, że za chwilę ogarną ich ciemności, gdyż właśnie dopalała się ostatnia pochodnia.

Chłopczyna odpowiadał na pieszczoty ojca i od czasu do czasu mówił doń cichutko:

— Cierpliwości, drogi tatusiu, zobaczysz, że pomoc niedługo już do nas przyjdzie.

Podniecony słowami dzielnego dziecka starszy górnik, pragnąc pokazać mu, że jeszcze ma trochę sił, chwycił kilof i uderzał nim kilkakrotnie.

Jak gdyby w odpowiedzi na to wezwanie w oddaleniu dały się słyszeć podobne uderzenia kilofa.

Nie mogło być wątpliwości... nadchodziła tak długo oczekiwana pomoc.

Wkrótce górnicy opuścili groźne podziemia.

Hubert i jego syn ostatni wyszli z kopalni, gdy upewnili się, że nikt już w niej nie pozostał.

Wieść o bohaterskiem zachowaniu się ojca i syna przedarła się za mury miasteczka i szerokiem echem rozniosła się po całej Belgji.

Ówczesny cesarz Francuzów, Napoleon I-szy przysłał starszemu górnikowi krzyż zasługi, małego zaś Roberta polecił kształcić na koszt państwa w liceum w Liege.

